

268

Młodopolskie gody

Gdzie? W Teatrze Kameralnym. Reżyser Wanda Laskowska wystawiła tam „Gody życia” Stanisława Przybyszewskiego, we własnym opracowaniu dramaturgicznym i w niezłej scenarii, zaplanowanej przez Zofię Pietrusińską. Przybyszewskiego — osławionego „smutnego szatana” nagich dusz modernistycznych — od jakiegoś czasu nasze teatry próbują przywrócić życiu jako dramaturga, ze zmiennym szczęściem. Znalezione klucza do czegoś, co nasze babki przeżywały jako Wielką Literaturę Wielkich Dramatów, a ich wnuki po prostu śmiesz, nie jest rzeczą łatwą. Do Przybyszewskiego jesteśmy zresztą uprzedzeni przez pewnych historyków literatury, którzy nie omieszkali w swoim czasie zapodać młodzieży, że mamy do czynienia po prostu z kabotynem i życiowym, a także artystycznym „nieudacznikiem”. Mając to wszystko w pamięci, pobiegłem do Teatru Kameralnego z tym większą ciekawością i niecierpliwością — spodziewając się spektaklu nie tylko na scenie, ale i na widowni. I nie zawiodłem się.

Publiczność była podzielona na obozy, podobno i frakcje, które reagowały na poszczególne sceny i kwestie w sposób niekiedy skrajny. Mówiąc skrótnie: jed-

ni (głównie młodzi) śmiały się do rozpuku, inni — a dotyczyło to przede wszystkim osób wiekowych płci żeńskiej — lkały ci chutko i miały za złe tym, co się śmieją; jeszcze inni, jak np. niżej podpisany, usiłowali do całej sprawy znaleźć odpowiedni dystans. I ci ostatni byli — jak się wydaje — w najgorszym położeniu, bo zarówno śmiech, jak i starania o „wzucie się” w tragedię rozkładały im jakąkolwiek całościową wizję spektaklu. Nastawione filozoficznie jednostki próbowały się ratować w zamęcie przywoływaniem prastarych wzorców literacko-kulturowych, typu „śmiech przez łyżę” i „Śmieć się pajacu, choć w sercu żal...”. Kiedy w czasie antraktu moja przyjaciółka — osobą myśli niezależnej i dobrego teatralnego smaku, który mogą podziwiać widowni TV — pożaliła mi się, iż została srodze zbesztana przez swoje sąsiadki za to, że wybuchnęła kilkakrotnie śmiechem, zrozumiałem: nareszcie coś, co nasza leniwa na ogół publiczność autentycznie podzieliło, jak to bywało za dawnych, dobrych lat — choćby wtedy, kiedy w 1909 r. odbyła się w atmosferze strasznego skandalu krakowska premiera „Godów życia”. No, może przesadziłem — skandalu to tym razem nie będzie, ale

zdania są podzielone co najmniej jak w przypadku „Love Story” czy „Tredowatej”.

Nie przywołałem tych dwóch tytułów przypadkowo. Idzie o renesans melodramatu, głównie z życia tzw. sfer (w przypadku Mniszkówny dotyczy to jedynie sfer oświeconych, bowiem pozostałe i tak czytały owo dzieło w odpisach, zanim zlitowało się nad nimi Wydawnictwo Literackie i uprzyściplniło tragedię dusz z wyższych sfer po bajkońskiej cenie). Otóż Przybyszewski w „Godach życia” musi się wydać zarówno zwolennikowi, jak i przeciwnikowi Mniszkówny: niesłychanie melodramatyczny; pierwszemu w sposób wstrząsający głęboki, drugiemu — kabaretowy i groteskowy. Co z tym fantem zrobić? Grać (i reżyserować) z całą powagą — toż wyjdzie kabaret niezamierzony, a przy tym ponury. Pójść na dystans i pastisz? To diabli wezmą całą tę tragedię koblety, która wybiera między kochankiem a dziecieniem i mężem swym — choć komedia będzie niewątpliwa, z rodzaju modnych „czarnych komedii”. A przy tym — czyż ładnie tak się pastwić nad pisarzem, który stał się „démodé”? Zebyż to jeszcze jakiejś teatryczki studenckiej, któremu na sucho wszystko uchodzi — ale Teatr Kameralny?

Takie — wyobrażam sobie — mogła wieść sama z sobą rozmowy reż. W. Laskowska. I doszła do wniosku, że trzeba postawić tragedii świeżkę, a komedii — ogarek. Owszem, z wyczuciem epoki i kulturalnie; owszem, widać w tym subtelność kobiecą ale i kobiecą złośliwość względem rodu męskiego, a także własnego. Ale konsekwencji trochę zabrakło. W rezultacie przedstawienie balansuje w równowadze chwiejnej między tonem „serio” i tonem „buffo”. Ten drugi „załatwiają” — jak się zdaje, głównie wedle własnej chęci i inicjatywy — poszczególni wykonawcy, co jest tym bardziej zabawne, że robią to od czasu do czasu i nie znajdując oddźwięku u swoich scenicznych partnerów. Jest tedy poważna i zasadnicza Zofia w wykonaniu Wandy Bosak obok Hanksi Bielskiej, granej przez Annę Polony, którą miałbym ochotę uściskać za kilka scen — gdyby recenzentowi wypadało to robić. Są to bowiem sceny wysmakowane, gdzie zrozumienie konwencji epoki łączy się z niemałym poczuciem dystansu i humoru (ot, choćby ten sposób układania się na szeszlongu). Elementy dobrego pastiszu zawiera rola Jerzego Treli (demoniczny Janota — z pewnymi rysami biograficznymi samego

Przybyszewskiego), nawet — Zygmunta Józefczaka (Wacław Drwęski). Pozostali wykonawcy tego tonu — jak się zdaje — nie złapali, co przypieczętowała wyjęta żywcem z symbolizmu Maeterlincka Zebraczka, w wykonaniu Melanii Sadeckiej.

„Gody życia” w Teatrze Kameralnym można odbierać nader różnie. Recenzent sygnalizuje tu tylko pewne przesłanki, być może — subiektywne. Idźcie zatem sami, aby obejrzać, jak po latach wyglądają męki bohaterów „piekielnego Stasinka” w owych młodopolskich godach — i przeprowadźcie test nad własnym typem wrażliwości. Nie wstydzicie się, jeśli łyżę się wam zakręcą w oczach — nie miejcie też za złe tym, co się nieźle bawić będą, zamiast cierpieć. I nie sądzcie reżysera zbyt surowo za niekonsekwencje: jeśli już Wanda Laskowska zapragnęła przypomnieć nam takie dramaty sprzed przeszło pół wieku, to narzuciła sobie zadanie bardzo trudne. Można oczywiście rozważać, czy artystycznie opłacalne.

Stanisław Przybyszewski: Gody życia. Reż.: Wanda Laskowska. Scen.: Zofia Pietrusińska. As. reż.: Jerzy Stuhr. Teatr Kameralny.